№ 1. Warszawa, dnia 1 Stycznia (20 Grudnia) 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

I.

Pani Taidy Skarszewskiej nikt nie lubił w okolicy, ale każdy musiał ją szanować, liczyć się z nią, i przyciśnięty do muru — przyznać, że była wiele warta.

Była to kobieta, którą bieda i praca wychowała, bieda i praca nauczyła, bieda i praca towarzyszyła i wiodła przez życie. W tej kompanii stwardniało jej serce, wyrobił się despotyczny charakter — nawet zgrubiały rysy—głos—wyrażenia. Była bezwzględną dla słabości, wymagającą cnoty jako obowiązku; pracy jako jedynej dźwigni i celu życia, pogardzającą próżniakiem jak przestępcą — prawiącą prawdę ostro, twardo, bez żadnych ogródek! Nie wierzyła w słabe zdrowie, w przeciwne okoliczności, w pokusy i upadki—nawet w wadliwe wychowanie i dziedziczne wady. Dla niej świat nie dzielił się na stany, klasy, płcie.

Nie. Był człowiek pracujący — do niego należała ziemia; był próżniak — dla niego był Sybir, więzienie, ba! gdyby była prawodawcą, dodałaby bez wachania szubienicę.

Razu jednego krewniak jej i chrzestny syn zarazem, zgrał się i przyciśnięty koniecznością, przyjechał błagać o ratunek. Wtedy już pani Taida miała srebrne włosy, ale się pozbyła towarzyszki biedy, więc mogła go poratować. Przyjęła go w stodole, gdzie dozorowała zdawania partyi pszenicy, i zaraz ofuknęła, że w roboczy dzień nie pójdzie go bawić do salonu. Nieśmiało opowiedział swe nieszczęście.

Skoczyła jak furya:

— Nieszczęście! Jak śmiesz to tak nazywać. Nieszczęście święta rzecz. Bóg je zsyła. To Jezusowe ciernie! A twoje nieszczęście czego warte? — stryczka. Sznurek ci dam, ot masz — powieś się, ty łotrze.

— Ależ, ciociu, ja się do winy przyznaję, ale ja się poprawię, nie wezmę kart do ręki. Ten jeden raz! Nie o mnie zresztą chodzi, ale o ziemię. Serce mi się krwawi nad dolą Zapola.

— Bądź spokojny. Ziemia bez szubrawca nie zginie, owszem odetchnie, gdy po niej chodzić przestaniesz. Ładnie ty ją uprawiasz, ślicznie o nią dbasz! Owszem, owszem, żeby was nie stało, co do jednego, hultajów, rozpustników, leniów, graczy, jarmarkowiczów—toby może ta nieszczęsna ziemia odetchnęła. Robactwem szkodliwem jesteście i chwastem! I ty śmiesz do mnie się zwracać o ratunek! Masz!

I rzuciła mu pod nogi kłębek szpagatu.

Tedy się krewniak bardzo obraził i bywać przestał. Co prawda, mało kto odwiedzał Rudę, majątek pani Taidy, bo prawie każdy posłyszał tam kazanie i gorzką prawdę ciśniętą bez ogródki w oczy. Ona sama o gości mało dbała, mawiając:

— Próbowałam tego za młodu, ale się nie opłaciło. Gość zawsze oderwie od zajęcia, zajmie czas — i na co? Tylko obmowa i plotki, bo tylko się sąsiadów sądzi, krytykuje, lub wyśmiewa. O czem innem gadać na partykularzu? Potem pojedzie dalej i co sam mówił, włoży w twoje usta, jeszcze coś dokomponuje i ot gotowa zwada z sąsiadem. A służba gościnna buntuje miejscową, albo wprost odmawia. Nigdy po gościach nie zostanie nic dobrego, tylko irytacya i śmiecie w domu! Zresztą niema czasu na wizyty.

Nie kryła się z tem zdaniem, więc ludzie ogłosili ją jędzą i sknerą, i trawą porósł podjazd do domu w Rudzie, bo i pani Taida nie wiele zużywała koni na swoje przyjemności.

Kilka razy do roku jeździła do parafii na wielkie święta lub do spowiedzi, kilka razy za interesami do powiatu, parę razy do brata i siostry i na tem się kończyły jej stosunki ze światem.

Przez całe swe życie wierną była „Gazecie Warszawskiej" i wierzyła w nią bezwarunkowo co do polityki i korespondencyi rolniczych, potem zaprenumerowała „Kraj," ale co rychlej się wycofała.

— Można dostać żółtaczki z irytacyi, czytając ich polemiki! I co z tego za korzyść! Ja wiem, że jest ciężko, źle, nieznośnie! Ale jak mi to kto będzie bezustannie przypominał, to mnie cała moc odpadnie i robić nic nie zechcę! Człowiek dwa razy nie żyje, ani doli sobie nie wybiera. Jaka mu wypadła, musi ją odbyć. Na tamtym świecie będzie ład, a tutaj nigdy!

Dewotką nie była pani Taida. Pacierz ranny odmawiała o świcie, idąc na gumno, wieczorny rozbierając się do spoczynku, w Niedzielę odmawiała modlitwy ze starego „Ołtarzyka polskiego," który odziedziczyła po matce, a gdy miała wolną chwilę, lub dotknęła ją jaka klęska, otwierała na chybił trafił „Listy św. Pawła," odczytała stroniczkę i tyle. Ubierała się zawsze czarno, bez pretensyi, nie posiadając w swej garderobie nigdy więcej nad dwie suknie; jadła bardzo mało, sypiała sześć godzin na dobę. Od świtu do zmierzchu na nogach lub na wózku, nie powiedziała nikomu w życiu całem: nie mam czasu, lub „poczekaj;" czy z wrodzonych zdolności, czy z długoletniej rutyny, mając w głowie przedziwny ład.

Życie jej upłynęło w Rudzie, a dzieła i czyny nie wyszły poza zakres szarego tłumu ziemian. Żeby była mężczyzną, stałaby się luminarzem powiatu, ale że była kobietą, więc nie miała głosu ni w radzie, ni w sądzie, ni na zjazdach marszałkowskich — nigdzie. Nie mogła zaprotestować, gdy jej podwyższano podatki, ani obronić się, by jej nie wyznaczano reperacyi dróg o siedem mil,

ani wpłynąć na obniżenie procentów w banku wzajemnego kredytu, którego była członkiem; miała tam głos, ale osobiście go używać nie miała prawa.

Miała wszystkie ciężary obywatela, bez żadnych prerogatyw.

Osiemnastoletnią dziewczyną wyszła zamąż, w dwadzieścia dwa latą została wdową z dwoma synami i massą długów. Naznaczona opiekunką małoletnich, długie lata była pod kontrolą marszałkowskiej kancelaryi; pilnowali jej ostro panowie sąsiedzi, wymagano szczegółowych rachunków, wtrącano się we wszystko. Ale długów nikt nie płacił tylko ona, klęsk nikt nie wynagradzał — tylko ona, biedy nikt nie cierpiał — tylko ona, synów nikt nie uczył — tylko ona, i Rudy nikt nie kochał — tylko ona.

A gdy starszy syn, Włodzimierz, doszedł do pełnoletności, na obiedzie u marszałka, panowie mu rzekli:

— No, uchowaliśmy ci Rudę w porządku. Teraz o los swój i byt możesz być spokojny!

I byli rzetelnie rozrzewnieni swą obywatelską służbą.

W pracy swej i trudzie nie była jednak pani Taida sama. Mieszkała z nią siostra niezamężna, trochę ułomna, wskutek tego wykreślona z kandydatek do stanu małżeńskiego, panna Jadwiga, ciocia Dysia, jak ją nazywali chłopcy.

Kopciuszek rodziny, ciocia Dysia, po owdowieniu siostry, przyjechała na czas jakiś do Rudy i została na zawsze. Była cichutka, łagodna, każdemu z drogi ustępująca, skrzętna i pracowita. Jest na świecie wiele panien brzydkich i kalekich, skazanych na samotną starość i wykolejenie, ale któraż w porę rezygnuje z marzeń, która w porę, dobrowolnie usuwa się od uczuć, pragnień i utartego celu, która potrafi wynaleźć sobie inny cel, a nie stać się pośmiewiskiem i nieszczęśliwą?

Otóż ciocia Dysia nie stała się pośmiewiskiem, nie poczuła się nigdy nieszczęśliwą, i nawet mawiała, że innej doli nie pragnie. Stanęła do pomocy siostrze jeszcze bardziej ukryta w szarej massie obywatelstwa okolicy. Pani Taida nie miała prawa korzystania ze swego głosu — ciocia Dysia nawet głosu nie miała. O pani Taidy czynach i dziełach nie wiedziano poza powiatem, o czynach cioci Dysi nie wiedział nikt, i nikt o niej nawet nie mówił.

W Rudzie pani Taida burcząc często, karcąc ostro, napominając co chwila, prowadziła męzkie gospodarstwo; ciocia Dysia drepcząc dużo, gderząc po trosze, zajmowała się kobiecem. Tak się to cichutko odbywało, że zdawało się, że ona nic nie robi. Nawet myślała to pani Taida, i z roku na rok w miarę rozwoju dodawała siostrze obowiązków.

I wreszcie po latach ciocia Dysia zajmowała się śpiżarnią i kuchnią, drobiem i domem, ogrodem i nabiałem. Nie bez tego, że nieraz wyręczyła siostrę w prowencie i doglądaniu inwentarza. Mieściło się to jakoś zgodnie w dwunastu godzinach dnia roboczego i nie zalegało nazajutrz.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Z RUCHU UMYSŁOWEGO.

Nowe pismo. — Psychologja rozwoju narodów.

„Sztuki piękne wszędzie wyprzedziły filozofię. Możnaby rzec, że gdzie na horyzoncie narodu jakiego pojawi się poezya i sztuka, nie z naśladownictwa, ale z pierwotwórczych, czysto narodowych pojęć wydobyta, tam wschodzi jutrzenka jego w różanym blasku poranku, tam niebawem i rodzima zejdzie filozofia, i okaże się w całym majestacie wschodzącego słońca—tam odmładza się jego życie, świadcząc o wielkiej treści i zasobach ducha jego."

Te słowa Libelta pełne zapału i wzruszających wróżb przywiodło mi na pamięć pojawienie się na naszej widowni dziennikarskiej nowego przybysza „Przeglądu filozoficznego."

Nowe pismo, to u nas wogóle gość dosyć rzadki, a nie każde też z pojawiających się powitać się godzi słowiańskiem: „Gość w dom, Bóg w dom!" Niektóre przychodzą jako duchy złe, by „siać ziarno nieczyste," by „w rolę ojczystą rzucać kąkole," by nie być pierwiastkiem życia, lecz rozkładu, zwiastunami śmierci.

Tem życzliwiej też powinnoby społeczeństwo przyjąć kwartalnik naukowy, który zapełniając ubliżającą nam wprost lukę w piśmiennictwie, przyczyniać się ma do wzmożenia naszej energii umysłowej, ułatwiać wznoszenie się ku tym wyżynom cywilizacyjnego rozwoju, na których stoją narody zachodniej Europy, a może, być pierwszym szczeblem owej drabiny, po której filozoficzna myśl polska wznosić się będzie, by na ołtarzu ogólno-ludzkich zdobyczy ducha złożyć także część swoją, wytwór własnej, odrębnej indywidualności plemiennej.

Że nadzieje takie i pragnienia ożywiają kierowników „Przeglądu," świadczą słowa umieszczone w przedmowie: „Istnieje filozofia angielska, niemiecka, francuzka, a każda z nich różni się od innych jakimś pierwiastkiem oryginalnym i dopełnia inne. Czy myśl polska tak jest upośledzona, że nic własnego do skarbca wiedzy ludzkiej dorzucić nie może?"

Jeżeli słusznym jest przytoczony powyżej pogląd Libelta, to zaiste czas byłby już na wschód filozoficznej myśli polskiej.

Że oryginalna, pochodząca z najgłębszych pokładów ducha narodowego, sztuka polska istnieje, świadectwem stanąć mogą nazwiska: Mickiewicza i Słowackiego, Szopena i Moniuszki, Matejki i Grottgera i tylu a tylu innych. Dusza polska wypowiedziała się już słowem, melodyą i barwą, teraz czas jej skrystalić się, i jasnym, bezcielesnym kwiatem myśli na świat wystrzelić.

Czy na przeszkodzie nie stanie jej jaka fatalność? Czy filozofia będzie mogła rozwijać się tak, jak poezya i sztuka nasza wbrew wszelkim nieprzyjaznym wpływom, przesądzać nie należy.

Tymczasem cieszyć nas powinien fakt pojawienia się organu, poświęconego bezinteresownemu poznawaniu, nauce czystej.

W „Słowie wstępnem" redakcya następujące cele wykreśla pismu:

„Przyczynić się do skupienia sił naukowych."

„Zachęcić specyalistów do uwzględnienia zasadniczych, teoretycznych podstaw ich specyalności.

„Zachęcić młode siły do badań filozoficzno-naukowych.

„Dać ogółowi poważną lekturę, oraz zawiadamiać go o ruchu filozoficzno-naukowym w kraju i za granicą."

Mając na względzie nietylko specyalistów i młodzież studyującą, ale i cały ogół inteligentny, redakcya starać się będzie, aby prace pomieszczane w „Przeglądzie" pisane były w formie przystępnej, co przeszkadzać nie będzie ścisłości i naukowości rozpraw.

Kreśląc następnie pobieżny szkic dziejów filozofii w Polsce, piszący dochodzi do wniosku, że dotychczas filozofia bywała u nas tylko spóźnionem echem tego lub innego kierunku na Zachodzie.

W początkach XIX w. ma zwolenników u nas Kant. W połowie stulecia, to jest w okresie największego rozkwitu filozofii na naszym gruncie, w epoce, która wydała Cieszkowskiego, Trentowskiego, Libelta, Kremera, wszechpotężnym był wpływ Hegla, i jakkolwiek wyżej wymienieni myśliciele nasi głosili bankructwo filozofii zachodniej, i wróżyli ukazanie się nowej — słowiańskiej, to jednak sami z pod czaru niemieckiego idealisty wydobyć się nie mogli, i bezpotomnie opuścili ziemię naszą.

Od r. 1860 zaczęły przedostawać się do nas inne zupełnie kierunki, wyrosłe na podkładzie wielkich zdobyczy, dokonanych przez nauki przyrodnicze. Rozpowszechniły się u nas poglądy Comt'a, Moleschotta, Vogta, Büchnera, Milla, Buckle'a, Taine'a, Renana, Spencera i t. p.

„Poznawane w większej części nie bezpośrednio, w oświetleniu niekrytycznem, w tłómaczeniach, pozostawiających bardzo wiele do życzenia, zmieszane w jedną dziwaczną całość, wytworzyły t. zw. pozytywizm warszawski, którego przedstawiciele sami z trudnością porozumiewali się wzajemnie."

Wobec panującego u nas dotąd zamętu pojęć na polu filozofii, redakcya uważa za konieczne stworzenie organu, któryby zaznajamiał społeczeństwo z obecnym stanem filozofii na Zachodzie, i przykładał się do uporządkowania wiadomości o różnych kierunkach.

Zagranicą istnieją pisma filozoficzne, poświęcone specyalnie pewnym kierunkom. U nas jest to niemożebne. Tak mało posiadamy pracowników na niwie filozofii, że pismo uprawiające specyalnie jeden kierunek, nie znalazłoby sił piszących w dostatecznej ilości. „Przegląd" nie będzie zatem organem żadnej szkoły, żadnego obozu. Każde metodycznie wypracowane przekonanie filozoficzne uwzględnione w nim będzie.

Obszerny dział zamierza nowe pismo poświęcić psychologii i najbardziej zaniedbanym u nas dziedzinom: etyce i estetyce. Co do socyologii, tej nauki, rozpoczynającej dopiero swój żywot, i z wielu powodów nadającej się do najbardziej namiętnego traktowa-

nia, redakcya stać będzie na stanowisku o ile możności najbardziej przedmiotowem, bezstronnem, by módz podać naukową nić przewodnią tym, którzy tracą ją w nauce stronniczej.

Tak przedstawia się mniej więcej program nowego organu.

W pierwszym zeszycie kwartalnym spotykamy cztery rozprawy: „Co to jest nauka?" przez Adama Mahrburga, „O terminologii psychologicznej" przez J. K. Potockiego, „Podstawy filozofii społecznej" przez prof. dr. L. Steina, „Wyjątek korespondencyi Kochańskiego z Leibnitzem" przez S. Dicksteina.

Dalej znajdujemy autoreferaty prof. Twardowskiego, Kramsztyka, Karpowicza, Krasnowolskiego; bardzo obszerny i ciekawy dział sprawozdań z prac naszych i obcych, „Kronikę" omawiającą ostatni zjazd psychologów, notatki i bibliografię.

Jak widzicie czytelnicy, treść obfita, a redakcya bezwątpienia z każdym nowym zeszytem pomnażać i wzbogacać ją będzie.

Życzyćby też należało, by z kwartalnika nowe pismo stało się wkrótce miesięcznikiem chociażby. Od poparcia ogółu zmiana ta w wielkiej części zależy. *H. C.*

(*Dokończenie nastąpi*).

KATO.

Powieść współczesna przez „Exterusa."

Sprawozdanie.

Na obcej ziemi kończy swoje technologiczne studya pewne gronko młodzieży naszej.

Żyli ze sobą ściśle przez lata nauki mimo że różnili się charakterami, mieniem, pochodzeniem i pozycyą towarzyską. Teraz oto witają oni wejście w świat ucztą studencką, dosyć hałaśliwą, a dla czytelnika o tyle potrzebną, że ma ona coś niecoś o właściwościach ustroju moralnego tych ludzi w zarodku powiedzieć. Coś niecoś, powiedzieliśmy, bo z wyjątkiem dwóch, których autor przeznacza odrazu na bohaterów swego opowiadania, reszta jest przeciętna, tak jak przeciętną i bladą atmosfera, w której dojrzewali. Ci dwaj, to Andrzej Krępic, dziecko chłopskie, który mozolnie, jak wszyscy jemu podobni, przepycha się przez życie, i Zygmunt Znamieniecki syn obywatela ziemskiego, jak się zdaje, wyższej niż średnia zamożności. Pierwszy dzięki wyrobieniu wczesnemu i sile zasad, używa wśród kolegów zaszczytnego przydomku Katona, drugi wyróżnia się wdziękiem obejścia, otwartem sercem i pewną pobudliwością wyobraźni, która mu zjednała przezwisko „ostatniego z romantyków," wśród grupy młodzieży, a ta, podobnie widać jak wszystkie jej współczesne, niby ognia wystrzega się posądzenia nawet o mrzonki wszelkie tak zwanej epoki minionej. Ci dwaj młodzi ludzie są nierozdzielni i rzeczywiście dokoła nich grupuje się reszta. Jest tam jeszcze Wakowicz, o którym nie da się wiele powiedzieć, Kobuski, cynik przedwczesny, Dembosz, aspirant do karyery przy niewielkiem uzdolnieniu, no i Naftal, semita pochodzeniem, ale artysta muzyk natchniony, wogóle gorejących skarbów serca młodzieniec, który w powieści ukazuje się epizodycznie tylko, ze względu zapewne, że go autorowi przy tych tych właściwościach, którymi go napiętnował, nie łatwo było przez życie konsekwentnie przeprowadzić. Syn łódzkiego krętacza, podszyty trubadurem, a w dodatku nieopatrzny, serdeczny, wylany w stosunkach koleżeńskich, to wielki ambaras jako kreacya, gdyby go często przed oczy czytelnikowi pokazywać przyszło.

Upili się, wyściskali, przyrzekli sobie pisywać, popierać się w życiu ile możności, a nadewszystko stawiać się punktualnie na uroczystości weselne każdego ze zgromadzonych, bo ci nie-marzyciele marzą jednak jawnie i otwarcie o kobiecie, jako o koronie wszystkich pragnień, a po cichu o karyerze, do której czują pociąg szczery, modyfikowany względami przyzwoitości. O innych ideałach młodości niema mowy przy tem pożegnaniu, bo to nie epoka na luxus podobny, jak wiadomo.

Krępic jedzie wypocząć na czas jakiś do Karolówki, majętności Znamienieckich, razem z kolegą; po drodze wstępują do firmy Rotte w Warszawie, gdzie się dowiadują, iż im obydwom zabiegliwość starego Znamienieckiego zawczasu tutaj stanowiska przygotowała. Są tedy ludźmi skończonymi, a posady obejmą zaraz po upływie wakacyi.

W Karolówce zastają ojca Zygmunta, który jest wdowcem od lat dwudziestu z górą na skutek tragicznego w pożyciu małżeńskiem epizodu, zresztą pół-pankiem, pół spekulantem — wogóle człowiekiem chłodnym, wyrachowanym i nie bardzo przystępnym. Krępica toleruje on ze względów osobistych, bo wie że to zdolność i energia, więc taki stosunek wydaje mu się pożądanym dla syna, który pierwiastek wrażliwości nadmiernej musiał przecież po swojej matce odziedziczyć.

Ta tragiczna przygoda w życiu owej matki była w swoim czasie skandalem skończonym w okolicy. Wiedzą o niej sąsiedzi i gadają dotąd, wie co ważniejsza syn, którego papa nauczył sam pogardliwego dla pamięci tej matki zapomnienia. Nie robi sobie też młody Znamieniecki żadnego z tą rodzinną niesławą ambarasu; owszem, wie o niej kolega Krępic, a i sam Znamieniecki robi w rozmowach z młodymi ludźmi niejednokrotne do tego faktu aluzye, co czytelnika i nas także w niemałe wprowadza zdziwienie, bo to niby nie jest obyczajem opowiadać o takich sprawach delikatnych każdemu, kto tylko słuchać ma ochotę. Co robić jednak! Skoro wszyscy wiedzą, to dlaczegobyśmy mieli być dyskretniejsi jak sami poszkodowani—ojciec i syn.

Naraz jednak zachodzi zmiana radykalna w sposobie zapatrywania się tego syna na cały rodzicielski stosunek w przeszłości. Krępic porządkując bibliotekę w Karolówce natrafia na porzucony gdzieś w kącie portret pani Znamienieckiej, a że na nim samym rysy tej kobiety zrobiły piorunujące wrażenie, i że jest człowiekiem stanowczego wpływu na umysł kolegi, więc przekonywa go odrazu, że to inaczej być musiało zupełnie jak głosi fama, że matka była duszą wybraną, kochającą wszystko co wielkie i piękne, a papa Znamieniecki harpagonem, zimnym spekulantem, który więził przy sobie tę istotę wyjątkową, zmuszoną w końcu pójść za głosem serca wbrew obowiązkowi. Ten za którym ów wszechpotężny głos przemówił, był sąsiadem; z nim wyjechała uciśniona na przydłuższą willegiaturę w krainy południowe, uciekając przed surowością tutejszego klimatu, ale że nie mogła przenieść tęsknoty za dzieckiem, więc wkrótce odebrała sobie życie. Takie szczegóły poczerpnęli obaj ludzie młodzi w Karolówce od jakiejś starej klucznicy, Boni, dawnej niańki Zygmunta i odpowiednio do tego nowego zapatrywania, uregulował młody Znamieniecki swój stosunek do ojca.

Tymczasem świeżo kreowani technolodzy odwiedzają sąsiedztwa, a między niemi dom państwa Olchowiczów, trochę skuzynowanych z rodziną Znamienieckich—taki sobie zwyczajny przeciętny domek szlachecki, ani lepszy, ani gorszy od innych w gruncie rzeczy, ale dla nas lepszy o tyle, że córki tej rodziny szczególnie nas w przyszłości interesować mają. Jedna z nich zamężna, to wzór wdzięku i cnót wszelkich, druga jest prawie że podloteczekiem jeszcze, ale z tego niby gatunku podlotków, co to już nie jedno zasłyszane umiały sobie przyswoić. Wie naprzykład, że rodzice są ludzie wsteczni, że nie rozumieją ducha czasu, że matka każąc się córce na bal dekoltować, popełnia prawie występek, że małżeństwo jest pogwałceniem wszystkich przyrodzonych praw kobiety, że kobieta powinna poczuć w sobie człowieka i t. d. i t. d.

To wszystko ten szesnastoletni malec, ta Emilka umie na pamięć, przy tem postanawia stać niewzruszenie, bo mężczyzn, jak powiada, nienawidzi z całej duszy, a tymczasem uczuwa w sobie iskrę Bożą, której znakiem widomym ma być powołanie do świętego stanu aktorskiego. Taką oddała ją domowi rodzicielskiemu pensya, taką ona przedstawia się ludziom gwoli wywołania podziwu obcych, umartwienia siostry, i w odmienny sposób objawiających się niezadowoleń ojca i matki.

Zatrzymaliśmy się dłużej nieco nad tą charakterystyką, którą podkreślamy w tem miejscu, jako pierwszą znamienną fazę w rozwoju tego wiejskiego dziewczęcia pod przeważnymi wpływami ducha czasu. Co się z nią stanie później — powiemy.

Tymczasem dwaj przyjaciele opuszczają Karolówkę, zajmują swoje posady u firmy Rotta, i tu niewiele o nich więcej powiedzieć można, jak że są średnio-przeciętnymi ludźmi porządnymi, że Krępic wyróżnia się jako człowiek pracy, a Znamienicki otrzymuje wkrótce dzięki stosunkowi ojca, od szefa firmy reprezentacyą tejże firmy w Cesarstwie. Nie jedzie on tam właściwie z dobrej woli, ale przekonał się, że ojciec nie osobliwie administruje fortuną, że się już pozbył kilku majątków dzięki niezręcznym spekulacyom, a więc, aby na ten koniec nie przyszło Karolówce i Leszczynom, z któremi on, Zygmunt, nie miałby siły się rozstać, woli na lat kilka wyrzec się wszystkiego i zająć stanowisko, na którem możnaby zrobić dużo pieniędzy. Jednem słowem, „ostatni z romantyków" idzie w służbę mniemanej twardej konieczności życiowej. Nie radzimy jednak czytelnikom rozżalać się nadmiernie nad taką dezercyą, bo istotnie młody Znamieniecki ma tylko wdzięk

i miękkość właściwą wielu romantykom, ale wzlotów, ale pragnień istotnych tych ludzi—nawet na lekarstwo u niego nie szukaj.

Nie sądźcie jednak czytelnicy, że to on się tak autorowi nie udał—że używszy trywialnego porównania, innym go włożono do pieca, a innnym on z tego pieca wyszedł. To nie! Owszem, on jest doskonały ten pan Znamieniecki jako postać, objaśniony, prawdziwy i wytłómaczony, jako istne niedokończenie dzieła Bożego, jako szczątki ducha, które się zabłąkały w formę przygotowaną i obmyśloną przez programy społeczne. Przydomku nie wysłużył sobie, nie usprawiedliwił go wcale, i gdyby ten drugi, to jest Kato, równie niedopasowane miał nosić imionisko...

Ale nie uprzedzajmy wypadków!

(Dokończenie nastąpi.)

Mój interview.

Ile razy przyjdzie mi znaleźć się pojedynczo przeciw zbiorowości pewnej, ile razy ujrzę się sam jeden z myślą moją przeciw jakiejś modzie, metodzie, czy kierunkowi, tylekroć lęk mię chwyta serdeczny, bo i wyrażenie: Vae soli! nie byle jakim jest wykrzyknikiem, i nieladajakiego bólu wyrazem, i wreszcie co gromada to gromada przecie jak wiadomo.

Tak też było i w tych początkach Grudnia roku bieżącego.

Co rok patrzę ja na prospekty wydawane niesłychanym kosztem przez pisma tutejsze, co rok podziwiam bogactwo obietnic a następnie małą albo zgoła żadną troskę o tych obietnic dotrzymanie; co rok oczekuję na przymusowe przeniesienie tego rdzewiejącego oręża reklamy do arsenału broni wyszłej z użycia. Daremnie! Prospekty z roku na rok powtarzają się i rozrastają nawet w rozmiarach, a ja widomych oznak ludzkiego dla nich lekceważenia, jak nie widzę tak nie widzę. Albo tedy ludzie muszą się gniewać po cichu, jeśli wogóle gniewają się tak jak ja myślę, albo prospekty owe, które mnie martwią, są rzeczą moralną, dobrą, rozumną i pożyteczną, a nie nadużyciem żadnem, jak mnie się przywiduje. Zobaczmyż!

Łatwo to powiedzieć zobaczymy, ale jak—ale gdzie —ale jakim sposobem?

Kwestyonaryusze już się zużyły, a wreszcie delikatna to materya pytać o takie rzeczy przed samym Nowym Rokiem. Zapytywać tysiąc, a choćby i stu tylko ludzi—rzecz kłopotliwa nadzwyczajnie, tembardziej, że nie każdy i nie każdej chwili gotów jest odpowiadać na podobne subtelności. Pisać nie dobrze, mówić jeszcze gorzej, więc co i jak począć?

A gdyby tak zapytać jednego — jednego, ale takiego coby do ogromnej większości ludzi był podobnym? — zapytałem sam siebie.

Myśl ta uczepiła mi się jak złe, odebrała spokój dzienny i spoczynek w nocy, i nie pierwej pozbyłem się jej, aż zrobiłem sobie wybór człowieka i obmyśliłem sposób skomunikowania się z nim. Sto razy nazywałem poczciwego X-a człowiekiem typowym—człowiekiem przeciętnym—mężem średnio-proporcyonalnym, niechajże mi ten średni da odpowiedź w imieniu wszystkich średnich, do których jest podobnym

Trafność wyboru polegała niby na tem, że indywiduum to nie miało:

Ani jednego na sumieniu popełnionego przez życie dziennikarskiego artykułu, ani jednej powiastki, nowelki, wierszyka i t. p.

Brak mu było, o ile ja o tem mogłem wiedzieć, wszelkich dalszych i bliższych osobistych stosunków z dziennikarstwem i literaturą, a czy z powodu nieśmiałości, czy z braku uznania dla profesyi, badać mi nie wypadało. Natomiast posiadał ów mój X:

Wiek dojrzałości wymagalnej, który jeszcze nie był porą pessymizmu życiowego uniwersalnego, a zatem jakieś 40 mniej więcej lat, przy wybornem zdrowiu, umiarkowanym dobrobycie i zadawalniających stosunkach rodzinnych zarówno jak towarzyskich.

Przeciętność w całym swoim majestacie! Wszak prawda? Ale jednocześnie posiadał ów X. i tę właściwość także, że poczuwał się do obowiązku popierania piśmiennictwa peryodycznego, czego dowodem była dla mnie stała, bo z początkiem każdego roku na wszystkie cztery kwartały z góry przez tego człowieka wnoszona prenumerata za 9 pism poczynając od najnowszego kwartalnika, wliczając w to wybitniejsze tygodniowe i typowe codzienne, bez paru tylko takich, którym w ostatnich czasach odesłał on numery wraz z uprzejmą prośbą o nie zaszczycanie go nadal i t. d.

Albo tedy ten, albo nikt! pomyślałem odrazu, tembardziej gdy i okoliczności uboczne doskonale się do wydania tego rodzaju werdyktu nadawały, przybyłem bowiem w to odludzie wraz z nim samym po dwu tygodniowej jego nieobecności, w dzień pocztowy i w porze nadchodzenia 49-tych i 50 tych egzemplarzy pism tygodniowych a 280 tych którychś numerów gazet codziennych.

Albo ten, albo nikt — albo dzisiaj, albo nigdy!—powtarzałem, postanawiając jednocześnie śledzić tego oryginała przeciętności od pierwszej chwili jego zetknięcia się z drukowaną bibułą. Pytań zamierzyłem unikać, ale mimo to, jak tylko przyniósł służący na tacy pocztę, której bez pana domu nikomu dotknąć tutaj nie wolno, nie mogłem się oprzeć pokusie zwrócenia uwagi jego, i przyśpieszenia momentu psychologicznego.

— Jakie grube dzisiaj pisma — zauważyłem podstępnie.

— A tak, grube, bardzo grube, zawsze one w tych czasach takie grube — zauważył, a po krótkim namyśle, zaczął otwierać wnętrza kopert i wyrzucać na stół różnych rozmiarów arkusze większe i mniejsze, jedno i różnobarwne, illustrowane i bez illustracyi—wyrzucać i na jeden stos układać, poczem zadzwonił, a gdy przyszedł służący, dał mu rozkaz krótki, treściwy,, ale taki dziwny, że niejednemu z tych, których znamy, skórę na kolumnie pacierzowej dreszcz by przeszedł zimny.

— Zabierz to!

— Dokąd, proszę pana?

— Gdzie chcesz — do kredensu zapewne, a może się gospodyni upomni, bo to arkusze dużego formatu, a one tam te ciasta swoje pieką w tych czasach.

Służący wyszedł, a ja zdumiony tem, że mi się tak bez zachodu odrazu wszystkiego dowiedzieć przyszło, ledwie odważyłem się zapytać:

— Pan nigdy nie czytuje prospektów?

— Czytywałem — teraz nie czytuję. Człowiek taki jest głupi, że choć go kto raz okłamie, wierzy jeszcze i drugi i trzeci raz nawet, ale przecie w nieskończoność wierzyć nie będzie. Tak samo było i z tymi prospektami. Jakem się tylko przekonał, że w ciągu całego roku nie nakłamie się tyle, co na tym jednym arkuszu, to już przez samą miłość własną nie biorę tego nigdy do ręki. Niech mu się tam zdaje jednemu i drugiemu że mnie nabrał, ale ja się w gruncie rzeczy nabierać nie daję, i mam nawet w odwecie tę satysfakcyę, że na tem, na co on wyrzucił kilka setek rubli albo i więcej, moje oko nawet nie spocznie.

— Nie spocznie pańskie, to spocznie czyje inne — oko drugiego, dziesiątego, setnego...

— Nie tak bardzo, mój panie — zaprzeczył tonem pewnego rozdraźnienia mój gospodarz. Nie tak bardzo jak wam się zdaje! Ja nie powiem tak, jak to tam mówią u was: „Niema głupich!" ale powiem, że jest głupich coraz mniej, bo i lekcye wasze codzienne skutkować przecie muszą, a i nasze czerepy mniej twarde niż wam się zdaje.

— Oh! oh! oh! — powiedziałem sobie na trzy odmienne tempa, — to ja tu gotów jestem usłyszeć więcej nawet, niż się spodziewałem. Milczmy tedy i słuchajmy, bo to nie codzień święto podobne. Zobaczymy przytem, jak to on tutaj potrafi się utrzymać, kiedy tak rezolutnie zaczął. Ten tymczasem milczał, jak gdyby przerabiał długo gromadzone zarzuty i pretensye, jak gdyby konfrontował stare jakieś obrachunki, a wreszcie zaczął po prostu:

— Nieznamy się wzajemnie i z tego płynie dużo nieporozumień, bo niestety zawsze do tego przychodzi, że z czasem poznać się musimy—nie w ten to inny sposób, a wtedy zazwyczaj chłodną sympatye, albo i gorzej nieco jeszcze. Ludzie o ludziach wiedzą dużo, Warszawa nie za górami, i to jest pierwszy sposób zabrania znajomości z piszącym, choć on ani się tego domyśla. Są i inne jeszcze drogi bez pośrednictwa ludzkich języków, ale do takich daje klucz doświadczenie dopiero — przykre, gorzkie doświadczenie, do którego bodaj nie dochodzić nikomu. Staje się wtedy człowiek rodzajem prokuratora, w chwili, kiedy bierze do ręki pismo peryodyczne, i jednocześnie z tego co czyta, stara się odgadnąć dlaczego napisane to, a nie co innego. Do takiego stanu dochodzi się po szeregu całym zawodów, ale się dochodzi, i trzeba przyznać że takich prokuratorów coraz więcej u nas.

— Do dyaska! — pomyślałem ze smutkiem a mój oskarżyciel ciągnął tymczasem dalej:

— Bardzo to jest naturalne, że czytający jest człowiekiem pierwotniejszym od piszącego. Jako taki ma on swoje wymagania, swoje pretensye, a często i swoje żale do piszącego, z których ściśle biorąc, zarzutu robić

mu się nie godzi, bo Bogiem a prawdą dużo słuszności jest po jego stronie.

Czytelnik, widzisz pan dobrodziej, chce brać słowo drukowane do serca, a zatem chce przedewszystkiem prawdy.

Nawet wtedy, kiedy jest na tyle rozwiniętym umysłowo, że może ocenić kunszt i doskonałość rzeczy napisanej, potrzeba mu jeszcze wewnętrznego przekonania, że to jest wszystko szczere, bezinteresowne—że to z czystego źródła wyszło, bo bez tego i kunszt i mistrzowstwo nawet nauczy się on wkrótce odsyłać do starego dy..ła z przeproszeniem pańskich godnych uszu.

Ale cóż, kiedy to jest tak, że choćby już miał pewne dane do uwierzenia w ową szczerość, wnet zamarzy mu się, aby to było wyrazem opinii, warstwy społecznej, kół szerszych, a choćby znaczniejszej grupy ludzi, bo retoryczne popisy jednostki nie reprezentującej nikogo, mają dla takiego czytelnika tylko wartość doskonałego szkolnego wypracowania na zadany temat.

Jednem słowem czytelnik prowincyonalny potrzebuje wierzyć, że pismo nie wisi w obłokach i nie szermuje swoim orężem, w obronie potrzeb imaginacyjnych i nie istniejących przekonań i interesów. Ale przypuśćmy, że ci się z biegiem czasu ułożył stosunek twój do jakiego jednego pisma jak najpomyślniej, że zyskało ono twoje zaufanie możliwe, że to lub owo pióro daje ci najwyższy stopień zadowolenia, żeś u niego wreszcie nawykł szukać rozwiązań dla własnych wątpliwości i objaśnienia wśród powikłań opinii, których sam rozplątać sobie nie możesz. Czy to już jest dobrze — czy to będzie sojusz trwały, a rękojmia tej miłości twojej także niewzruszona?

Ba! a niespodzianki od czego? Niechajże się podniesie temperatura, a w polemice niechaj zagotuje się cokolwiek, ni ztąd ni zowąd najgorszy nieprzyjaciel twego najlepszego przyjaciela wywłóczy ci z zatęchłej nory wspomnień, archiwum całe kondemnatek na twego uprzywilejowanego, i trzęsie niemi i odsyła do nich wszystkich tobie podobnych wierzących i ufnych, i trąbi światu całemu: „Patrzajcie, co ten wasz niezłomny napsocił swojego czasu, słuchajcie i spróbujcie ożenić to jego dzisiaj z tym jego dniem wczorajszym. No i kończy się na tem, że choćbyś niewiedzieć jak chciał bronić i usprawiedliwiać, nie możesz przecie sam pozostać przy ufności własnej dotychczasowej, bo jużci jasnem jest jak dzień Boży, że albo ten człowiek szczerym był wtedy albo dzisiaj, a jeśliby nawet był szczerym zawsze, to jaka będzie w takim razie wogóle na świecie definicya przekonań, i jak człowiek mógłby w siebie wmówić, że owa ostatnia ewolucya w przekonaniach owego świeckiego przewodnika twego sumienia, która tobie do serca trafiła najbardziej, jest w istocie ostatnią nieodwołalnie.

To są dla nas czytelników wielkie zniechęcenia, a nie są one jedyne, bo bywa i wprost odwrotnie tam u was. Świeci ktoś, naprzykład, świeci czas długi, urasta, zyskuje sobie serca ludzkie i naraz piorun z czystego nieba! Wali się rusztowanie całe, z człowieka robi się człowieczyna zaledwie, z umysłu przewodniego wystrzelił fajerwerk cyrkowy, jeśli nie gorzej jeszcze—skończyło się, zgasło, przepadło! Lecisz na miejsce jeśliś gorączka niepoprawny, pytasz zkąd licho i bieda taka, odpowiadają ci, że nic się nie stało. No, ależ ten człowiek?.. A cóż? on powiada, że teraz tak. No, a i cóż wy na to? My nic—A on? On swoje, ale to nic. To człowiek szczery — to z przekonania; on inaczej mówić nie będzie tylko z przekonania. No, a słuszność, a prawda gdzież? Wczoraj była, czy jest dzisiaj? Na to nic nie odpowiada ci nikt, bo niby odpowiedzieć niema co, a przytem kwestya przekonań wogóle dosyć starannie jest u was pomijaną, jako drażliwa, a troska o osoby, o ich znaczenie i popularność, o wiele większą niż o jakieś tam opinje, które jak doświadczenie uczy, przyczyniają tylko życiu niepotrzebnego balastu.

O takich wprawdzie, którzy odważyli się głosić jawnie, że dziennikarz opinii mieć nie powinien, nie mówi się już i u was nawet, i tacy wprędce istotnie na psy schodzą zupełne, bo cynizmu nikt jeszcze nie apoteozuje, chwalić Boga, ale że wam indywidua zasłaniają sobą zasady, to fakt niezbity, a to jest czego my tutaj właśnie pojąć nie umiemy, co nas z wami różnić będzie dopóty, dopóki albo wy nie zrozumicie lepiej duchowych potrzeb naszych, albo my... ale nie daj Panie doczekać!

Eh! różnie to tam podobno u was, różnie a cudownie zaczyna być dzisiaj. Dobra rzecz postęp najszerzej nawet pojmowany, bardzo pożądanem takie ustalenie się opinii, wedle której człowiek odpowiada za grzechy własne, i która nie pozwala, aby niewinny pokutował za winy poprzedników swoich, ale z drugiej strony jest granica dla takiej niesolidarności członków rodziny najbliższej, a tę granicę stanowić winno przynajmniej zastrzeżenie, aby człowiek, który wyszedł z gniazda bezwarunkowo brudnego, a osobiście ani jednego kroku nie zrobił w kierunku rehabilitacyi tej rodziny i podniesienia własnego, aby człowiek taki nie wysuwał się przynajmniej naprzód, nie podnosił głosu, nie odważał się społeczności, wśród której żyje, dawać rad, napomnień czy jak to tam wreszcie tę funkcyę dziennikarską nazwać i rozumieć należy. Można być demokratą aż do głębi duszy, aż do dna serca samego, ale męty społeczne, ale szumowina o przewodnictwo, o ster myśli i kierunków kusić się bezwarunkowo nie powinna, bo by to już było znakiem, że źle jest we wnętrzu, że tam pustka czy rozkład być musi, skoro niema komu odtrącić, niema komu zawołać: „Odejdź!” tak głośno i dobitnie, żeby zrozumiał ten, na kogo się woła, i schował się tam zkąd przyszedł.

Baczcież tedy na siebie, bo jak to pójdzie dalej tak jak iść zaczyna, to w końcu zniechęcicie sobie najwytrwalszych nawet, a to chyba nie pomyśli by wam było.

Zresztą rozważcie sami. Przecie to niegdyś do takich zadań brali się najwybitniejsi ludzie — ludzie zaufania i opinii.

Taką rozmowę przyszło mi wysłuchać w tygodniu poprzedzającym Święta. Do słowa przyjść mi nie dano, więc nie powiedziałem nic, raz że mi trochę zaimponował ten prowincyonalista szczerością swoją, a przytem jak i o co kłócić się z nim było, powiedzcie czytelnicy sami?

S.

ODKRYCIE.

Epizod z naszej epoki.

Dziewiąta godzina bije zwolna na staroświeckim zegarze, który w długiej machoniowej szafie wypełnia przestrzeń między dwoma oknami, niedostatecznie oświetlającemi wnętrze głębokiej jadalnej sali.

Sztywny ma wygląd ta komnata, bezbarwny i posępny nawet. Jednego rzutu oka wystarczy, aby stwierdzić, że to część apartamentu zamożnego człowieka, ale o tym człowieku usprzęcenie samo nie wiele nam powiada. Olbrzymi z naturalnego dębu rzeźbiony kredens świeci w górnej połowie kosztowną srebrną zastawą, a stylowe fotele dokoła owalnego stołu liczbą zaświadczają, że ten stół gromadzić może większą ilość biesiadników; zresztą pusto, jak to zwykle bywa w salach jadalnych każdego mniej więcej miejskiego mieszkania o tak wczesnej godzinie. Jedyną może wskazówkę co do tego, kim może być gospodarz domu, stanowią rozwieszone na ścianach miedzioryty, szczególniej wiekiem swoim odbijające od reszty umeblowania, noszącego wyraźny stempel ostatnich czasów. Te sztychy przedstawiające: Vigmana oddającego oręż zwycięzcy, Maryę Stuart w orszaku żałobnym i piękną zamyśloną twarz kobiecą z napisem: *La vertu chancelante* mówią wyraźnie, że pan domu to człowiek dawniejszej daty, mający jakieś swoje przyczyny czy kaprysy, które mu nie pozwalają rozstać się z tymi zabytkami starymi rytowniczego kunsztu, i z tym zegarem, który prawdopodobnie piątemu już pokoleniu chrapliwie wydzwania swoje godziny.

Nie traćmy jednak czasu na domysły próżne, bo oto ukazuje się właśnie we drzwiach ten, o którego nam chodzi. Wiek jego odgadliśmy trafnie. Ta twarz sucha, wyrazista, z pedantyczną starannością wygolona, nie pozwala przypuszczać, aby jej właściciel mógł sobie liczyć mniej niż sześćdziesiąt lat jakieś. Co zaś do reszty szczegółów, dotyczących jego domniemanego stanu i profesyi, to są one tak wymowne, że każdy średni nawet spostrzegacz obznajmiony ile tyle z cechami zewnętrznemi naszych typów miejscowych, od pierwszego spojrzenia odgadłby w tej męzkiej postaci lekarza — notabene jednego z wziętych, z niezbędnych nawet,—takiego mianowicie, bez którego przedśmiertne w różnych domach możnych koleżeńskie pogadanki, pospolicie zwane konsyliami, nigdy prawie się nie obchodzą.

Jednem słowem jest to wziętość lekarska niezaprzeczona i powaga niekwestyonowana przez nikogo. Jako dopełnienie charakterystyki, winniśmy nadmienić, że ta twarz budzi istotnie zaufanie, i że po bliższem w nią wpatrzeniu, trudno się dziwić tym wszystkim, którzy się jej urokowi profesyjnemu oprzeć nie mogą.

Ma niewątpliwie miasto nasze wyrobiony typ tego rodzaju, który staraliśmy się uwydatnić tutaj w głównych zarysach, a jeśli nam się to ile tyle powiodło, to z pewnością przypomnieć powinna sylwetka doktora L. jedną z tych postaci, o które każdemu z czytelników raz przynajmniej w życiu otrzeć się przyszło.

W tej chwili doktór L. wchodzi krokiem swobodnym i nie zupełnie harmonizującym z barwą jego włosów, powagą stanowiska, a nadewszystko z ogromem zajęć, jakie nań każdego poranku oczekują. Jest też to przykład wymownie świadczący, do jakiego stopnia energia życiowa długo podtrzymuje organizm człowieka czynu na jego naturalnej pochyłości.

Następuje parę odruchowych konfrontacyj kieszonkowego chronometru z czasem, jaki wskazuje stary zegar, a potem kilkakrotne oglądanie się, świadczące, że dr. L. oczekuje kogoś, albo że mu brak w danej chwili jakiejś twarzy, którą codziennie o tej porze widuje obok siebie. Rzuca też krótkie, pewnem zdziwieniem czy niepokojem tchnące pytanie służącemu, który mu właśnie podaje herbatę:

— Panienka?..

— Nie wiem — nie zeszła dotąd. Czy może zapytać?..

— Idź do Joasi...

Okazuje się jednak niebawem, że wiadomości od służącej zasięgać nie trzeba, bo przedmiot niepokoju ojca zjawia się w tej chwili w drzwiach przeciwległych tym, w których spostrzegliśmy wchodzącego jego samego.

Przypatrzmy się bliżej osobie, która nietylko jako jedynaczka możnego bardzo domu, ale i jako zupełnie niecodzienna postać kobieca, zainteresować nas powinna, tembardziej, że z jej właśnie życia wyjmujemy epizod, którym czytelnikom opowiedzieć zamierzyliśmy.

Panna Julia L. ma obecnie lat dwadzieścia cztery najwyżej, postawy jest nieledwie imponującej, a rysów twarzy tak doskonale harmonijnych, że je prawie wyrzeźbionymi nazwaćby można. Zresztą układu swobodnego, bez ujawnienia cienia nawet tej świadomości, jaką by u młodej osoby, przykuwającej do siebie wszystkie spojrzenia wszędzie, gdzie się pojawi, podejrzewać by można. Czy to jest oswojenie się z wrażeniem wywoływanem stale i niezmiennie, czy zupełna na tego rodzaju przywileje obojętność — trudno odgadnąć, ten jednakże, kto wie, że p. Julia jest od trzech już lat narzeczoną dobrowolnie i bez wpływów zewnętrznych wybranego człowieka, ten się raczej ku ostatniemu przypuszczeniu skłonić powinien. A przytem widać tam na czole tyle myśli głębokiej, w oczach taki wyraz spokojnej rozwagi, że o małostkach pospolitym kobiecym organizacyom właściwych, mowy tu nawet być nie może. Panna Julia to kobieta skończona i zupełna. Jej obecność wyjaśnia nam znaczenie jednego z tych miedziorytów. To musi być przypadkowy portret jej lub jej matki, zmarłej przed dwudziestu z górą laty— prawdopodobnie matki.

Powitanie z ojcem serdeczne z jej strony— ze strony tego ojca nie pozbawione pewnego śledczego spojrzenia, aż do wnętrza samego istoty, do którego taki renomowany dyagnosta jakim jest doktór L. odnośnie do osoby bliższej sercu, nigdy zupełnie wolnym być nie może. W tej chwili ma on jak widać swój specyalny jakiś po temu powód, bo marszczy mu się czoło, ręka nałogowo prawie wyciąga po dłoń córki, a ta siadając opuszcza ją niedbale, pragnąc rozproszyć niepokój ojcowski uśmieszkiem trochę, przyznać należy, sztucznym i wymuszonym. O ile się jej to powodzi, przekonać się możemy z pierwszego zaraz odezwania się doktora L.

— Nie spałaś?..

— Owszem...

— Dajmy pokój odraczaniu wyjaśnień, które zawsze czas robi koniecznemi. To zła metoda. Zresztą powiem ci, że nie od dzisiaj widzę zmianę w tobie, a to co spostrzegam w tej chwili, to już będą następstwa chyba. Co ci jest? — powiedz!

— Nie wiem o niczem... czuję się zdrową zupełnie.

— To nie jest odpowiedź, a przynajmniej nie dla mnie. Nie nalegam, ale zdaje mi się, że masz niepokój jakiś wewnętrzny, troskę— nie wiem wreszcie co, ale faktem jest, że coś ukrywasz przedemną.

— Nic nie ukrywam...

— Nie jest to chwila na dłuższą rozmowę i pomimo że mam z tobą do pomówienia, nie wolno mi zapomnieć, że mój czas na minuty nieledwie obliczony. To też w kilku słowach zamknę to, z czem się noszę od jakiegoś już czasu.

A pragnąc, jak widać, pozbyć się świadka, który wedle przyjętego zwyczaju stał w pobliżu, czekając rozkazów, rzucił mu przez ramię szybko:

— Janie! konie gotowe?

— Wyprowadza Jakób właśnie — odpowiada zapytany, wyjrzawszy przez okno.

— Zbierz dzienniki wczorajsze i wynieś do karety.

Po oddaleniu się służącego, który zrozumiał, czego właściwie od niego żądano, zapanowało chwilowe milczenie, które z wyraźnym wysiłkiem przerwał doktór:

— Posłuchaj mnie, dziecko. Wszelkie położenia fałszywe mają to do siebie, że złe, tkwiące w nich z biegiem czasu koniecznie zaostrzać się musi. Zawieranie związków lekkomyślne, bez obustronnego zbadania charakterów i wzajemnej skłonności, jest niedorzecznością prostą, ale nie idzie zatem, aby przewlekanie w nieskończoność wykonania tego, cośmy raz postanowili, mogło mieć jakąkolwiek stronę dodatnią. Ani to dla ciebie, ani dla niego. Mnie stare moje doświadczenie zresztą mówi, że to rychlej lub później źle się zwykło kończyć, bo ztąd wszystkie nieufności, wszystkie podejrzenia, ztąd poddawanie rozwadze spraw rozważonych już należycie, bo nakoniec dwoje ludzi przyglądać się sobie przez lata całe bez różnych niespodzianek i odkryć ujemnej natury, nie może. W ciągu lat, nawet na słońcu doszukać się można plam. Nie zapominajcie o tem oboje — nie zapominaj zwłaszcza ty, bo jużciż to kilkakrotne zmienianie terminów dla połączenia się waszego naznaczanych, nie jego przecież jest dziełem. Nie byłem ja wprawdzie nigdy za tem, aby się skrupulatnie rachować z każdym kaprysem, jaki nam narzuca opinja, ale rozumiesz chyba, że jest w tak postawionym stosunku dwojga ludzi coś śmiesznego, a to wcale nie pożądane. Miałem wstręt do śmieszności przez całe życie moje, podobnie jak do wszelkich sytuacyi niejasnych i niezdecydowanych. Pomyśl o tem, kochanie, bo nie mówiąc już o rozstroju twoim nerwowym, który ja za bezpośrednie następstwa tego stanu rzeczy uważać muszę, powiem ci nawiasowo, że czuję się i ja potrochu zakłopotanym wobec świata. Widzę, że umierają ludzie z ochoty wypytywania mnie, jak stoją te sprawy, a ja nadrabiać muszę chłodem, aby nie dopuścić do wyjaśnień, których wreszcie przy najlepszej woli daćbym nie potrafił.

— Milczysz... Nie wiem jak mam to rozumieć. Ha! widać że to coś ważniejszego, niż pierwotnie przypuszczałem. Ja myślałem, że to ociąganie się, a to będą zdaje się przeszkody. Wszak odgaduję?

— Alboż ja wiem sama. Nie od dzisiaj datuje to, co mię niepokoi, a przytem...

— Przytem co?

— Przybywa mi obaw, wątpliwości... powiedziałabym, że się zachmurza dokoła nas, a w ostatnich czasach nawet...

— Nie trzymaj że mnie w tem zawieszeniu. Powiedz co masz do powiedzenia odrazu...

— Dzisiaj nie mogę.

— Ah! Więc to będzie sobie ciąg dalszy z nieokreślonym terminem—tak jak dotąd.

Żywy przymus i niechęć odbiły się na twarzy młodej kobiety, i dlatego odwracając głowę, powiedziała powoli, z namysłem:

— Proszę o parę dni czasu — potrzebne mi są — nie mogłabym inaczej. Dzisiaj nie nalegaj na mnie, ojcze, bo dzisiaj ja sama nie wiem jeszcze na pewno.

— Kto mógł czekać tak długo jak ja, temu parę dni różnicy nie stanowią żadnej. Zgoda na te parę dni. Czy po ich upływie ja się mam zapytać, czy przyjdziesz do mnie sama? Nie chciałbym być natrętnym — powiedział doktór, a nie odbierając odpowiedzi wziął kapelusz i rękawiczki, przygotowane na małym stoliczku, i powolnym krokiem zwrócił się do przedpokoju, przekonany, że tym razem zajść musiało między dwojgiem młodych coś poważniejszego, a może i stanowczego zupełnie.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

KRONIKA.

Niedostateczna statystyka.

W nr. 291 podaje „Wiek" kilka cyfr ze statystyki miejskiej, a to w celu wykazania stosunku chrześcijan do żydów w Warszawie. Otóż według urzędowych wykazów między 4,653 właścicielami domów w naszem mieście jest tylko 3,037 chrześcijan i aż 1617 żydów, przyczem zanotować wypadnie na marginesie, że co się tyczy nieruchomości większych, to połowa ich przeważnie jest w rękach żydów. Dalej powiadają nam cyfry, iż kupców 1 klasy jest 72 chrześcijan i 90 żydów, a 2 klasy 1,709 chrześcijan i 1,279 żydów. Przytoczone pozycye stwierdzają, jak powiada „Wiek," że Warszawa jest miastem *dostatecznie zażydzonem.*

Że jest zażydzoną Warszawa o tem nikt nie wątpił, ale że o stopniu jej judaizacyi kilka przytoczonych powyżej pozycyj, nie daje wcale dostatecznego wyobrażenia, to także pewność niezbita. Zapewne, że to wcale jest nie po myśli ludziom trzeźwego na sprawy wewnętrzne zapatrywania, iż nieruchomość miejska w $^2/_3$ tylko częściach pozostaje w rękach ludzi tutejszego pochodzenia, albo że w handlu jesteśmy stanowczo w mniejszości, ale to jeszcze przecież nie wszystko, co nam dokucza, a właściwie to nie jest bynajmniej to, co nam dokucza najboleśniej. Posiadanie stanowi niezaprzeczenie jeden z dowodów potęgi materyalnej, a kupczenie zalicza się słusznie do ważniejszych źródeł bogactwa, ale obcego posiadania miejskiego, raną w organizmie naszym nazwać nie można, a kupczenie tkaninami, norymberszczyzną czy wreszcie jakimkolwiekbądź artykułem handlu, pod względem szkodliwości porównać się nawet nie daje z kupczeniem myślą, zasadami, słowem, a przecież chyba i najzagorzalszy optymista nie odważy się powiedzieć żebyśmy od tego rodzaju handelku wolnymi być mieli. Jest to tedy ostatniego gatunku antysemityzmem dopatrywać szkodliwości żydowskiego uczestnictwa, tam, gdzie ono w gruncie rzeczy najmniejsze jeszcze szkody przynosi, a odwracać oczy od sfer działalności, w której intoxykacya myśą żydowską zalicza się do klęsk prawdziwych.

W sprawie zdrowia publicznego.

Pisma informowane podają do wiadomości, iż władza wyższa uwzględniając dotkliwy brak miejsc w szpitalach, na który cierpi miasto nasze, zaleciła zwierzchności zakładów dobroczynnych wyrazić opinję swoją co do tej kwestyi, po uprzedniem zbadaniu przez specyalną do tego celu komisyę, zarówno niezbędności powiększenia łóżek w szpitalach warszawskich, jak i środków wprowadzenia w życie tej reformy. Komisya będzie miała prawo przybrania sobie członków z pośród grona osób z danym przedmiotem obeznanych. Jakoż ogłosił naczelnik zakładów dobroczynnych, iż wskutek obszerności i zawiłości kwestyi powołał do komisyi inspektora lekarskiego i innych członków rzeczoznawców, o których ewentualnem uczestnictwie w pracach wstępnych wspomnieliśmy wyżej.

Z wystaw.

W połowie Stycznia roku bieżącego otwartą będzie *pierwsza czasowa wystawa sztuki artystów warszawskich*, która w odpowiednim do przeznaczenia lokalu zgromadzi najpoważniejsze siły tutejszej kolonii artystycznej.

Warszawa posiada czasowo w swoich murach dwa dzieła budzące interes powszechny. Jednem z nich jest obraz Brandta, przedstawiający wyjazd Jana III-go, drugi obraz, znajdujący się w Salonie Krywulta, przedstawia pielgrzymkę torreadorów w Sewilli. Jest to olbrzymich rozmiarów płótno pędzla hiszpańskiego malarza Salvadora Viniegra y Lasso, używającego mimo trzydziestu pięciu lat wieku dopiero, rozgłośnej sławy europejskiej.

W dniu 21 Grudnia roku zeszłego nastąpiło zamknięcie wystawy pracy kobiet, z której szczegółowe sprawozdania podawaliśmy w swoim czasie. Podobno wystawę zwiedziło przez czas kilku tygodni dwadzieścia sześć tysięcy osób.

Kwestya nagląca.

P. A. Ł. porusza w pismach codziennych sprawę reformy, według niego i wedle powszechnego mniemania uznanej jako doniosłej. Wiadomo, że dekretowani przez wyroki sądów kryminalnych są po odsiedzeniu kary zsyłani do pewnych oznaczonych miejscowości, że zostają tam pod dozorem policyi, ale że im niesława ich przeszłości w wyjątkowych tylko wypadkach pozwala na wyszukanie sobie pracy, więc stają się oni powoli plagą okolicy i powodem demoralizacyi klas nieoświeconych. Jednem słowem hańba rodzi nędzę, a ta ostatnia występek, i temu stanowi rzeczy chce projektem swoim położyć koniec p. A. Ł. Proponuje on mianowicie zakładanie dla takich ludzi domów zarobkowych, a jako punkta, w których te domy powstawać winny, wskazuje miejscowości dotychczas na pobyt dla winowajców przeznaczane. Jest to zdaje się myśl bardzo szczęśliwa, i wydaje nam się, że filantropja nasza poprzeć powinna gorąco pomysł p. Ł., tembardziej, że subsydyów materyalnych instytucya podobna z największą pewnością potrzebować nie będzie, a przynajmniej potrzebować nie powinna.

Zamach samobójczy.

„Warszawski Dniewnik" podaje do wiadomości, że w dniu 23 Grudnia przy rozdawaniu cenzur kwartalnych w III Gimnazyum w Warszawie, uczeń klasy VI Cz. J. otrzymawszy cenzurę z niezadawalającymi stopniami, wyjął szybko z kieszeni rewolwer i strzelił sobie w usta. Kierunek strzału był taki, że kula przeszła przez policzek. Ranny przewieziony został do szpitala św. Rocha, ponieważ jednak rana nie okazała się śmiertelną, ojciec młodego człowieka umieścił go w lecznicy prywatnej. Desperat odznaczać się miał wedle podanych zapewnień, dobrem sprawowaniem, cieszył się ogólną sympatyą, nie posiadając jednak zdolności, pomimo pracy, postępy robił małe. W przygotowanym zawczasu liście opowiada on, iż wszystkie usiłowania zapewnienia rodzicom pociechy, okazały się daremnemi.

Smutne jest jednakże, że młodzież nie żyjąca naganie może przychodzić do tak rozpaczliwych postanowień.

Opodatkowanie.

Podają pisma codzienne pogłoskę, że w krótkim bardzo czasie dowiemy się o opodatkowaniu totalizatora. Pozostaje ta pogłoska w związku z powiększeniem łóżek w szpitalach warszawskich, które jest naglącem, jak to mieliśmy sposobność wzmiankować powyżej. Ponieważ tedy nowych miejsc w szpitalach otworzyć się ma 245, a po wykończeniu budowy nowego szpitala Dzieciątka Jezus ma ich przybyć jeszcze 100 z górą, przeto wzrost podatku przewidywany z tego tytułu wyniesie prawdopodobnie jakieś 70,000 rs. Otóż z tej racyi zwrócić miały na siebie uwagę summy zdobywane dwa razy do roku przez totalizatora, i wskutek tego chęć podzielenia się z nim częścią jego zysków. Opodatkowanie totalizatora przyniesie z pewnością cyfrę bardzo poważną, ale nie zapominajmy, że awansując on tym sposobem więcej jak o jeden stopień wyżej w uznaniu powszechnem. Będzie się teraz mówiło: „Bądź co bądź mają przecie z tego biedni i cierpiący pożytek pewien."

Czy summa korzyści przeważy ujemne strony takiego kompromisu, poręczyćbyśmy nie mogli.

Czytelnie bezpłatne.

„Warsz. Dniewnik" podaje do wiadomości publicznej, iż p. Hipolit Wawelberg, bankier warszawski zwrócił się do J. O. Księcia Imeretyńskiego z prośbą o przyjęcie 10,000 rs. na rzecz zakładanych obecnie przez władze czytelni miejskich. Jak zapewnia „Dniewnik" ofiara została przyjętą.

„Wiek" mówi o wzrastającej ciągle w Warszawie ochocie do czytania wśród ludności niezamożnej, a jako dowód stawia nieustanny brak książek w czytelniach bezpłatnych, zostających pod zawiadywaniem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Wzywa też pismo to ogół o hojniejsze niż dotąd zasilanie czytelni książkami popularnemi, zalecając przytem staranny wybór odpowiadający pod każdym względem potrzebom sfer czytających.

Idzie tylko o to, że pojęcia o poziomie umysłowym klienteli czytelni bezpłatnych nie należy zbytecznie uogólniać, i że raczej należałoby zarządzającym czytelniami dać pewne instrukcye specyalne, a nadmiernie nie ścieśniać wyboru książek. Z tych bibliotek czerpie oświecona i nie oświecona część niezamożnej ludności warszawskiej, nie wyłączając nawet uniwersytetu. Odmówić potrzebującemu dzieła poważniejszego nie ma dobrej przyczyny, z tego jedynie względu, że są umysły niedojrzałe, dla których książka taka szkodliwą być może. Powtarzamy, że zdaniem naszem, osoby wydające książki w czytelniach bezpłatnych zupełnie biernie zachowywać się nie mogą. Coś należy zostawić ich rozeznaniu, koniecznie.

Wskazówki i rady.

Torcik biszkoptowy z arakiem.

Upiec trzy równe biszkoptowe okrągłe blaty na trzech patelniach, lub jeden po drugim (patrz biszkopty "Jedyne praktyczne przepisy"). Posmarować dwa marmoladą konfiturową, jaką kto ma — lub konfiturą z róży, która tu ma wyborne zastosowanie. Złożyć razem, przykrywając trzecim blatem — każdy powinien być przynajmniej na cal gruby. Zrobić na jeden tort z 12 jaj syropu z pół funta cukru, wymieszać go póki gorący, bo się lepiej miesza z pół kwaterkiem dobrego araku, polać ułożony na półmisku tort i przycisnąć cały salaterką czy półmiskiem płaskim, aby pod ciężarem tegoż ciasto się dobrze uleżało. W pół godziny zdjąć półmisek, ubrać konfiturami i podać za legominę. Chcąc go podać jako tort, polać przezroczystym lukrem (patrz "Jedyne przepisy") i dopiero ubrać. Jako legominę można go robić z 3 omletów odwrotnym sposobem zrobionych — araku można i więcej.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

Ceny stałe, fabryczne.

GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

ul. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 55. W WARSZAWIE.

poleca na Gwiazdkę:

Chustki białe, kolorowe i jedwabne haftowane.
Ręczniki białe i z kolorowemi szlakami.
Garnitury kolorowe do herbaty w wielu odmianach.

Bieliznę męzką, Krawaty, Spinki
Bieliznę damską ozdobną
Dywany. Portyery.

568—30—29

Ceny stałe, fabryczne.

SZKOŁA KROJU I SZYCIA
EMILII EHRENKREUTZ,

uczennicy Worth'a, ***MISTRZYNI CECHU.***
Nagrodzonej ***Medalem „de l'Academie Nationale des Maitres Tailleurs de Paris."***
Przy Szkole ***Pracownia Sukien. Krój*** bez żadnych poprawek.
W Warszawie, Chmielna 24, parter, front. Zgoda 3.

647—25—18



Przy flakonach dołącza się sposób użycia, na żądanie gratis i franco

Przygotowanie i sprzedaż dozwolone na ogólnych zasadach handlu za Nr. 1036.

CAPILLIFER

530—18—12

ŚRODEK

wzmacniający cebulki włosów i niszczący łupież, wskutek czego rosną gęste i mocne włosy, co stwierdzono długoletnią praktyką. Ceny flakonów stałe: rs. **1** kop. **20, 2, 3, 4** i **6** rs. **Mydło po 20 i 30 kop. sztuka.** Aby uniknąć naśladownictwa, wyłączna sprzedaż tylko u wynalazcy **T. L. Grabowskiego, Aleja Jerozolimska Nr 76, m. 7.**

SZKOŁA KROJU i SZYCIA
MARYI MACIEJOWSKIEJ

System francuzki, nauka dokładna i sumienna. Na żądanie *Patenty cechowe.* Osoby przybyłe z prowincyi mogą znaleźć wygodne pomieszczenie.
NOWY-SWIAT 56, m. 5. 614—25-20



Nowa Pracownia Gorsetów
„CAROLINE"
w Warszawie, ul. Chmielna №. 11,

poleca: różnorodne gorsety, od skromnych do najwykwintniejszych, gorsety sznureczkowe, na włosiu, staniczki, półgorseciki, leniuszki, gorsety do konnej jazdy, szeleczki do prostego trzymania i t. p. Fasony zgrabne, wykonanie staranne. Wysyłka za zaliczeniem pocztowem, a przy listownych zamówieniach należy podać ciało objętość w talii, w gorsie i długość boczku od talii do podramienia.

Reparacya i pranie gorsetów. 770—8-2

WYŚMIENITE
i
udelikatniające
MYDŁO TATRZAŃSKIE
WYŁĄCZNA WŁASNOŚĆ
WARSZAWSKIEGO LABORATORYUM CHEMICZNEGO
Z ZAPACHAMI
Fijołka, Konwalii, Buk. Tatra i Róży
Cena kawałka 15 k., najwyższy gatunek 25 k. i 45 k.
Dostać można we wszystkich ważniejszych perfumeryach.

7 36-10-5

Na Gwiazdkę!
Księgarnia nakładowa
EMILA SKIWSKIEGO
Warszawa, Chmielna 26.

Poleca następujące dzieła dla młodzieży:

Esteja:
KRÓLEWICZ KĘDZIOREK I KRÓLEWNA PEREŁKA
Bajka, wydanie luksusowe ozdobione licznemi akwarelami i rysun. A. Borkowskiego w ozdobnej oprawie. Cena rs. 2.

Wiktor Gomulicki:
NIEDZIELE ROMCIA
z illustracyami. W kartonie. Cena 1 rs. kop. 50.

Stefan Gębarski:
Robinson Tatrzański
z illustracyami. Cena w kartonie 1 rs. kop. 50 w oprawie rs. 2.

Marcus i Aurelian
Opowiadanie z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Cena kop. 25.

ZDOBYCIE KONSTANTYNOPOLA
Opowiadanie historyczne. Cena kop. 25.

E. Jerlicz:
KREWNI
Powieść odznaczona na konkursie „Przyjaciela Dzieci." Cena kopiejek 8.

Br. Grabowski:
KOLEGA JULKA
Powieść zalecona do druku na konkursie „Przyjaciela Dzieci." Cena kop. 70.

M. Bzowska:
WIRGINIA
Powieść z pierwszych czasów chrześcijaństwa Zalecona do druku na konkursie „Przyjaciela Dzieci." Cena kop. 25.

J. Norman Lockyer;
Pierwsze początki Astronomii
Przełożył Władysław Skłodowski. Z licznemi illustracyami w kart. Cena kop. 60.

Zuzanna Morawska:
Z dziejów słowiańszczyzny kresowej
Opowiadanie historyczne. Cena kop. 15.

Teresa-Jadwiga:
DWIE SIOSTRY
Opowiadanie historyczne z czasów państwa rzymskiego. Cena kop. 25.

Talizman Janka
Cena kop. 25.

PRZYJACIEL DZIECI
z lat dawnych.
Rocznik zbrosz. rs. 4, w ozdob. oprawie rs. 5.

Do nabycia u wydawcy i we wszystkich księgarniach. Nadsyłający żądania wprost do nakładcy kosztów przesyłki nie ponoszą.

Szkoła rękodzielnicza dla kobiet
K. Mączyńskiej,

747-6-2

Mazowiecka № 11, m. 8, w Warszawie,
przyjmuje uczennice przychodnie i pensyonarki; na **szycie krawieczyzny i bielizny, krój, system francuski. Haft biały i kolorowy,** złotem i srebrem. **Malowanie i wypalanie** na drzewie, rysunki, introligatorstwo galanteryjne, gipiurę, włóczkowe roboty, pończosznictwo, trykotaże, wyroby ze skóry i krawiaciarstwo. Pensyonarki mogą korzystać z fortepianu. Na żądanie wysyła się program.

Egzystująca od roku 1879
FABRYKA NOŻOWNICZA
i Wyrobów Stalowych
KAROLA KALINOWSKIEGO,
dawniej **Przewoskiego.**
Poleca gotowe wszelkie wyroby nożownicze. Obstalunki i reparacye po cenach możliwie niskich, stałych.—Fabryka: **Marszałkowska 13,** skład: **Rymarska 20.** 774-25-2

Magazyn Dziecinny JANINY
Marszałkowska 151.

DLA DZIECI: sukienki, ubrania, palta,
DLA DZIECI: kamasze, pończoszki, skarpetki,
DLA DZIECI: kapotki, kapelusze, czapki,
DLA DZIECI: bielizna, kołnierze, krawaty.

Obstalunki przyjmuje się ze swoich i powierzonych materyałów.
527—4—40

Wyborowa woda kolońska „CECYLIA"
do nabycia w głównym składzie **Elektoralna Nr. 43, m. 6,** oraz w znaczniejszych sklepach. 564—25—22

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Декабря 1897 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Juliusz Zeyer.

JAN MARYA PLOJHAR.

PRZEŁOŻYŁA

MIRIAM.

(Ciąg dalszy).

— Jedynie gdy widzę, jak pali, nie wierzę, że jest aniołem — mawiała zawsze Ersilia sąsiadkom i kmotrom, spotkawszy się z niemi u starego kamiennego czerpadła, z którego nosiła do domu wodę na głowie w wielkiem, starodawnem naczyniu miedzianem, za które nie jeden zbieracz drogo byłby zapłacił.

Don Clemente zdumiał się, gdy mu Ersilia opowiedziała, że Contessina z Gioachinem odjechała już dawno.

— Smutno jej było samej w domu; rozbolała ją mocno głowa, doradziła jej, aby raczej do siebie pojechała i położyła się—opowiadała. Potem zwróciła się do młodego człowieka, który z poruszenia wielkiego trząsł się, jak w febrze.

— Pozdrawia pana, podziękuje sama za grzeczność, żeś jej pan do nas towarzyszył.

— Siadaj pan — nakłaniał don Clemente, widząc, że Jan Marya ledwie na nogach się trzyma. Było mu go żal.

— Musiała między niemi jakaś nagła, dopiero w drodze powstać dysharmonja—myślał i trapił się, że nie może im dopomódz.

— Dziękuję—rzekł Jan Marya.—Ale i mnie jakoś niedobrze, pojadę także do domu.

— Dogonisz pan może Contessinę — rzekła Ersilia, wiedząc dobrze, iż było to już niemożliwe.—Mówiła, że pojedzie gościńcem.

Gdy wyszła z pokoju, ozwał się don Clemente nieśmiało:

— Widzę, że dotknęło to pana boleśnie. Wybacz mi pan moją otwartość i nie obawiaj się, że chcę do spraw pańskich się wtrącać. Pragnąłbym pana tylko pocieszyć; myślę mianowicie, że w tym postępku Contessiny nie masz nic, prócz bojaźliwości dziewczęcej. Przyszło jej na myśl dopiero tutaj, nie wiem, z jakiego powodu, że zgrzeszyła przeciwko zwykłym formom towarzyskim. Zaproponowała panu podobno sama, abyś jej do mnie towarzyszył, a teraz robi sobie zbyteczne wyrzuty.

Na chwilę słowa te uspokoiły poniekąd Jana Maryę. Wkrótce jednak wpadł znowu w chmurną zadumę. Nie, on sam zgadł lepiej. Nie chciała jechać w jego towarzystwie. Toć on sam bał się tej drogi z powrotem do San Cataldo. Dobrze zrobiła, że przed nim uciekła. Wstrętem ją przejął poprostu! I bardzo słusznie. Czyliż on sam nie miał uczucia, że Bóg opuścił go, odtrącił? Jasne twarze, jak jej, musiały się od niego odwracać. Było to okrutne, ale sprawiedliwe. Skazany był na mrok i ból.

— A jednak — mignęło mu w głowie — wszystko mogło się wyjaśnić i naprawić!... Ale ona nie chce!

Milcząco prawie pożegnał się z donem Clemente. Ersilia wskazała mu drogę, prowadzącą do gościńca.

— Może mógłbym ją dogonić? — przyszło mu naraz na myśl po kilku chwilach jazdy.— A gdyby ona sama tego sobie życzyła?

Kilkoro dzieci bawiło się opodal przed nizkim, pochylonym na bok, i jak gdyby gotującym się do upadku, domkiem.

Jan Marya zsiadł z konia, obdzielił dzieci drobnymi pieniążkami srebrnymi, potem pogładziwszy pod brodę ośmioletnie może dziewczątko z żywemi, rozumnemi oczyma, spytał z uśmiechem:

— Nie widziałaś też pani, która przejeżdżała tędy na koniu?

— Widziałam — odpowiedziało dziewczątko.

— Czy dawno to było?

Dziewczynka spojrzała na słońce, zamyśliła się i rzekła:

— Nie wiem.

Potem zwróciła się ku otwartej sieni domu.

— *Mamma*! — zawołała głośno.

Śniada, chuda kobieta z rozpuszczonymi, czarnymi jak kruk włosami i białymi zębami, które odsłoniła w uśmiechu, zjawiła się na progu. Słyszała była rozmowę jego z dziećmi.

— Jest temu już koło godziny, jak tędy przejeżdżała — rzekła, nie czekając pytania, i błysnęła bystro oczyma. — Była piękna jak anioł z raju. Ale nie jechała gościńcem. To jest, niedawno. Widziałam, jak zboczyła tam na ścieżkę. Długo patrzałam za nią.

— Boże mój—pomyślał Jan Marya—rzecz widoczna, że nie dogonię jej, że tego nie chciała, że ucieka przede mną.

Podziękował w krótkich słowach, wskoczył na konia i spiął go ostrogami.

— Dziwny człowiek! Mogłoby mi się o nim przyśnić — mruknęła kobieta, zamyśliła się i patrzała za nim. Potem przywołała dzieci, aby im darowane odebrać pieniądze.

Jan Marya wstrzymał wkrótce konia. Czuł znowu dziwne kłócie w piersiach, jak rano. Odpoczął trochę i pojechał stępa dalej. Ból minął — i zaczął znów o Caterinie i o rozpaczy swojej rozmyślać. Ale czuł jakąś pustkę w głowie; zdało mu się, że wszystkie te wrażenia zbyt go znużyły, dziwił się, że jest jakby senny, powiedział sobie, że to odrętwienie. A droga ciągnęła się w nieskończoność. Gdy przyjechał nareszcie do La Storta, wzmogła się w nim nagle tak niepojęta obojętność na wszystko, że zaczął sobie robić wyrzuty.

— Czyliż jej nie kocham?—spytał sam siebie. Uśmiechnął się z dziecinnego tego pytania. Czuł niezwykłe, szczególne pragnienie. Zatrzymał się przed karczmą u gościńca, na wsi, już za miasteczkiem, które był przejechał. Zsiadł z konia i padł na ławkę kamienną. Przyniesiono mu wino, którego zażądał, i zaczął pić chciwie. Aż głowa mu z tego ociężała. Patrzał na słońce, które chyliło się niżej, niżej, i nie mógł zdobyć się na chęć, aby powstać. Cała wola była w nim jak martwa. Szukał usprawiedliwienia dla swej nieruchomości, dla swego lenistwa.

— Lepiej będzie, jeżeli się ściemni, zanim przyjadę do San Cataldo— myślał.—Nie będę mógł w takim razie już dziś jej widzieć, i dobrze się stanie. Musiałbym objaśniać, tłómaczyć się, a niemam do tego dzisiaj siły. Napiszę jutro list. Napiszę jej wszystko, krótko i jasno. Nie zdołałbym jej tego nigdy tak powiedzieć, jak może napisać potrafię. Gdybym z nią mówił, widział jej oczy, uśmiech...

Zamknął oczy i widział ją, i było mu tak dziwnie. Jakaś tkliwość marząca opanowywała go, coś ukajającego, sennego odzywało się w nim, jak dźwięk miękki, przeciągły. Jego uczucia, wyobrażenia traciły coraz bardziej wyrazistość, po chwili nie myślał już nic... Basowy głos przebudził go ze snu zupełnego.

— Pan spisz—mówił karczmarz—a słońce już zaszło. W naszej krainie, pod gołem niebem nie jest to bezpieczne. Za kwadrans możesz pan mieć febrę.

— Prawda, prawda—rzekł Jan Marya i zerwał się, wróciwszy do przytomności, jakby przestraszony, choć sam nie wiedział, czem. Czuł wielką żałość, zanim wspomnienie o jej przyczynie się uświadomiło. Zapłacił spiesznie za wypite wino. Gospodarz pomógł mu siąść na konia.

Gdy odjechał, rzekł karczmarz do żony:

— Nie pił dużo, a wydawał mi się zupełnie pijanym. Nie wiem, czy nie spadnie z konia.

— Cóż cię to obchodzi, skoro zapłacił — rzekła obojętnie nawpół już rozespana.

— Zapłacił w dwójnasób — zaśmiał się mąż.

— No? więc cóż?—rzekła kobieta, zawiązując sobie na szyi sznurek tanich korali, który spadł jej był na kolana.

Słońce zaszło, ściemniało się coraz bardziej. Jan Marya patrzał na bezbrzeżną Kampanję, która zdawała się dymić ku niebu. Wilgoć przejmowała mu ubranie. Przypomniał sobie, że nie chce dziś już spotkać się z Cateriną.

— Przyjadę zawcześnie do domu — rzekł do siebie. — Nie będzie jeszcze zupełnie ciemno, a mogłaby przypadkiem być przed domem.

Spojrzał na niebo, było jasne, choć zmrok już ciężko po nizinie się czołgał.

— Wiem, co pocznę—myślał dalej.—Zrobię wielkie koło.

Szarpnął uzdą, zboczył z gościńca i jął się kierować jak gdyby w stronę jeziora Bracciańskiego, o którym mówił był z donem Clemente, i którego nie znał. Ułamał gałąź z cyprysu stojącego u drogi, i bez wszelkiej przyczyny, wbrew zwyczajowi swemu, jął smagać konia, który zaczął go też ponosić. Było mu to przyjemne. Lecieli z wiatrem. Kampanja była teraz już zupełnie ciemna, tylko tu i owdzie świeciły w dali ognie pastuchów. Nagle wpadli na jakiś moczar. Jan Marya instynktownie szarpnął konia w tył. Biedne zwierzę było zmęczone, a gdy uczuło, że ziemia zapada mu się pod nogami, zaczęło drżeć całem ciałem. Jan Marya, siedzący jakby w omdleniu na grzbiecie konia, zbudził się nawpół i litość dlań uczuł. Pogłaskał go. Spojrzał ku niebu; było szare już także, tylko na zachodzie gorzała żółta smuga, a na północy było jasno.

— Niedość jeszcze ciemno, biedny koniku — rzekł. Była to jakaś jego *idée fixe*, że jeszcze zawidno. Ściągnął konia i zwrócił

go; pojechał teraz w kierunku morza. W głowie czuł, jak gdyby coraz większą pustkę, a w piersi zaczął mu znowu dolegać ten nieznośny ból, ale teraz już przerażająco. Zamknął oczy, zdało mu się, że powieki mu ciężą, i że zaraz zemdleje.

— Najlepiej będzie, jeżeli pojadę teraz wprost do domu—przyszło mu nagle na myśl po dobrej chwili jazdy, i zostawił koniowi, powoli naprzód stąpającemu, zupełną wolność.

— Jakże ciężko myślę—szepnął do siebie, i jechał dalej, dalej, dalej przez tę posępną, chmurną Kampanię, milczącą i upiorną jak grób...

Koń nagle rzucił się i parsknął z przestrachem. Jan Marya o mało nie spadł.—Co się stało—zawołał, jak ktoś gwałtownie zbudzony. Ujrzał w mroku głębokim stado wielkich wołów, białych, z ogromnymi rogami. Człowiek pędzący je siedział na koniu i trzymał w ręku długą kopię z żelaznym, połyskującym w ciemności grotem. Wszystko to robiło takie dziwne wrażenie, wyglądało tak awanturniczo, legendowo, niezwykle, niewidzianie. Nie mógł sobie w pierwszej chwili przypomnieć, gdzie jest i czego chce.

Na niebie migotały nieliczne jeszcze gwiazdy.

— Znacie San Cataldo? — spytał człowieka z kopią, wróciwszy do świadomości i uprzytomniwszy sobie, że zbłądził.

— Jakżebym nie znał? — brzmiała odpowiedź.

— W którejże leży stronie? Daleko ztąd? Człowiek wskazał ręką kierunek.

— Za godzinę—rzekł—będziesz pan tam, nawet jadąc powoli.

Stado przeszło, kroki jego tętniły w cichej krainie, a urywki melancholijnej, monotonnej pieśni, którą nucił poganiacz, zlewały się z głuchym tym szmerem.

Jan Marya miał teraz jedno tylko pragnienie, jedną tylko myśl: znaleźć się pod dachem. Czuł się bardzo chorym. Miał toż samo uczucie, co wówczas przed klasztorem Trinitá. Strach nieokreślony, ale aż upiorny opanowywał go. Byłby chętnie konia popędził, ale czuł, że ruch przyspieszony nie dobrze mu robi! A jeżeli zbłąka się w tej puszczy i zginie samotny, opuszczony, jeśli utonie w ciemnościach tych jak w morzu? Zadrżał i mimowoli powtórzył wyrzeczone rano słowa:—Nienawidzę śmierci!

Utkwił z niepokojem oczy na gwieździe, według której był wskazany sobie przez człowieka z kopią kierunek zapamiętał. Jechał jechał, jechał, nie było końca tej jazdy, i w głowie jęły mu się mącić wszystkie pojęcia. Zdawało mu się, że jedzie całą noc, a miał świadomość, że słabnie z każdą chwilą. Puścił uzdę i spojrzał do koła. Uradował się. Miał uczucie, że poznaje okolicę. Niewątpliwie! Był już niedaleko San Cataldo! Otworzył oczy szeroko, starając się przebić wzrokiem ciemności, i pochylił się mocno ku przodowi. W tejże chwili jednak uczuł taki zawrót głowy, jakby ziemia i niebo na niego się waliły, a jednocześnie porwał go kaszel spazmatyczny. Zamknął oczy, chwycił się grzywy konia i wydobył nogi ze strzemion. Myśl, że mógłby spaść i że spłoszony koń mógłby go, wiszącego na strzemieniu, wlec za sobą galopem po puszczy, zjeżyła mu włosy na głowie. Poruszył nogami, aby się przekonać, że je ma wolne. Jednocześnie uczuł, że palce jego rozsuwają się, że puszcza grzywę, że się pomału w bok chyli. Zaniewidział zupełnie, w uszach posłyszał szum straszliwy, potem zdawało mu się, że pomału z konia spada, że coś się pod nim łamie, a gdy upadł na ziemię, posłyszał jeszcze, że coś dziwnie zasyczało... Potem zrobiło mu się gorąco na piersiach. Wiedział, że to krew, która mu się z ust leje i za ubranie zacieka. Potem jeszcze przyszło omdlenie zupełne... Nie trwało zbyt długo. Otworzył oczy i przytomność wróciła mu zupełna. Wiedział wszystko, co się z nim było stało, miał jasne o tem wyobrażenie, ale choć dusza czuwała, leżał jednak jak martwe ciało, jak przedmiot. Był taki słaby, że żadnym członkiem poruszyć nie mógł.

— Co się ze mną stanie? — spytał sam siebie w myśli, ale zupełnie spokojnie, jakby się to nie jego tyczyło. Było w tem pytaniu raczej coś w rodzaju ciekawości, aniżeli troska o samozachowanie. Nie myślał o śmierci, ani o Caterinie. Najbardziej zdumiewało go, zajmowało i uderzało, że wszystkie przedmioty dokoła taką zupełnie inną miały powierzchowność, taki zupełnie inny wyraz i charakter, niż kiedykolwiek przedtem. Czuł na twarzy oddech gorący. Wiedział, że to jego koń, który się zatrzymał, gdy był z niego spadł. Widział, że leży w połamanej trzcinie, na wyschłym brzegu mokradli. Trzcina dokoła niego kołysała się słabo, wydając dźwięki syczące. Z boku strzelało w górę drzewo.

— Dziwna rzecz—dumał Jan Marya—jak fałszywe miałem dotąd pojęcia o tem, co to koń, drzewo, trzcina! A teraz wiem to tak jasno! Czem się to dzieje?

Chciał podnieść rękę, ale nie mógł.

— Może to śmierć?—przyszło mu na myśl.— Byłażby istotnie tylko przebudzeniem się do wyższego, jaśniejszego, pewniejszego poznania i pojmowania?...

Ale nagle zaczęły mu się myśli mącić, uczuł w ciele wrzenie i pulsowanie gorączki— wiedział tedy, że jeszcze żyje. Koń zaczął się spokojnie paść koło niego. Jan Marya miał uczucie, że musi się roześmiać. Nie wiedział czemu, ale rozśmieszało go, że ten koń tak spokojnie się pasie, gdy on umiera. Ale ta myśl, to pojęcie śmierci zbudziły w nim znowu nagłe przerażenie. Chciał zawołać — pomocy! Ale zamiast tego słowa wydarł mu się z piersi nowy kaszel, a zaraz potem polał mu się z ust gorący strumień krwi, gorętszy i obfitszy niż poprzedni. W niepokoju śmiertelnym udało mu się trochę z ziemi podnieść, ale zaraz upadł bezsilnie, usłyszał szelest wśród łamiących się trzcin, i nowe zaczęło ogarniać go omdlenie. Nie stracił wszakże przytomności odrazu. Widział jeszcze, że koń jął niecierpliwie grzebać kopytem, że potem rzucił głową i pocwałował od niego gdzieś w dal...

Teraz był tedy zupełnie sam, i zrobiło mu się niewymownie smutno. Oczy zaczęły mu się przymykać, ale opierał się temu. Póki widział i słyszał — żył! Ale głęboka cisza tej puszczy zaczęła mu się wkrótce wydawać jak gdyby brzmieniem jedynego nieskończonego tonu, który napełniał go przerażeniem. Myśli jego, im dalej, tembardziej traciły wyrazistość... Teraz szerzyć się jęła światłość jakaś po bezbrzeżu niebios i przykuła do siebie mrzące jego źrenice. A wraz z tem oto pochyliło się nad nim blade, białe jakieś oblicze, przesłonione srebrnym zawojem, przez który przesączała się jasność jakaś czaru niewymownego. Jan Marya uśmiechnął się błogo.

— Chrystus! — szepnął. — On nie zawiedzie i nie opuści! Chodzi po pustyni, ach!...

Stracił przytomność.

Tem bladem, białem obliczem, z tą słodką jasnością pod zawojem był księżyc. Stał wysoko na niebie, a pod nim głęboko, głęboko leżał równie blady, jak on, Jan Marya, a dokoła była pustka, cisza, głusza...

Tymczasem Caterina stała u okna, czekała, czekała i ocierała łzy, spływające jej powoli po twarzy.

— Nie, zrobiłam niedobrze! - wyrzucała sobie.—Rozgniewałam, uraziłam go! O, nie powróci tu już! Z pewnością pojechał do miasta, i nigdy go już nie zobaczę!

Załamała ręce. Suntarella przychodziła do niej od czasu do czasu, próbowała dopytywać się, czemu Contessina nie wróciła razem z towarzyszem. Nie było potrzeby tak się spieszyć z tem płótnem dla dona Clemente. A cóż teraz miały znaczyć te łzy i westchnienia? Co się stało, na Boga? Ale napróżno się dopytywała. Caterina odpowiadała jej ciągle to samo:

— Nie męcz mnie. Nie pytaj. Nie wiem sama.

I znowu szła do okna i nadsłuchiwała, czy nie usłyszy tętentu jego konia. Ale usłyszała tylko szelest trzcin, w których on leżał, jak martwy!

Suntarella wciągnęła ją do pokoju,

— Chcesz się na gwałt rozchorować? — robiła jej wymówki.—Co cię trapi?

— Suntarello - rzekła Caterina—jak możesz być taka spokojna, gdy—umilkła.

Chciała powiedzieć—gdy jego spotkało może jakie nieszczęście!—Ale nagle przyszło jej na myśl coś zupełnie innego.

— A jeżeli on spotkał znowu tę kobietę?— pomyślała, — toć to rzecz zupełnie możliwa. A jeżeli on z nią do Rzymu pojechał? Ostatecznie, dla czegóż nie? Toć było widoczne, że ją kochał! Toć schadzał się z nią w Rzymie, podczas gdy ona, Caterina, tu o nim marzyła i śniła! Zbladła i wstała gwałtownie.

Wtem otworzyły się drzwi, i zjawiła się w nich pomieszana twarz Angioliny, kiwającej na Suntarellę, aby wyszła na korytarz.

— Francesco cię szuka—rzekła jej tak głośnym szeptem, że przez drzwi wpółotwarte w pokoju słychać było. — Zdaje się, że się stało nieszczęście!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Marszałkowska 101. * ZEGARKI. • W. RUDNICKI • BIŻUTERYA. * Marszałkowska 101.

697—25-9

CICHOBIEGI, SANDAŁY, PANTOFLE
poleca *fabryka obuwia*
S. W. PRYWES
Warszawa, Karmelica Nr. 17. 669-13-13

FABRYKA I MAGAZYN SZTUCZNYCH KWIATÓW
i Wyrobów dżetowych.
Pióra strusie fantazyjne, Pięknie ubrane kosze z kwiatami i owocami oraz roślinami.
A. PERLIN
DŁUGA 41-43. 685—13-13

Zaprawy do podłóg, Farby, Lakiery
poleca **HENRYK OSIŃSKI**
Miodowa 12, wprost Sądu Okręgowego, w Warszawie. 690-25-10

Zakład Galwaniczno-Bronzowniczy
oraz
Pracownia Cyzlersko-Grawerska
Henryka Biskupskiego
w WARSZAWIE,
ul. Żabia 4, dom hr. Zamoyskiego.
Poleca wszelkie roboty w zakres wchodzące, po cenach najprzystępniejszych. 691-25-10

Nowo-otworzony Magazyn Mód
L. ZIELIŃSKA
11. NIECAŁA 11, I piętro. 692-40-19

W. KONOPACKA,
Nowogrodzka Nr 9, I piętro.
Pracownia sukien i okryć wykonywa obstalunki z własnych jak i z powierzonych materyałów, wykwintnie po cenach przystępnych, według ostatnich wzorów 7(6-25-8

ŻAŁOBA. ŻAŁOBA.
26. Nowy-Swiat 26.
vis à vis Salonu Artystycznego.
ŻAŁOBNE
Suknie i kapelusze
Krepa, woalki, ubranka i t. p.
Specyalny
Magazyn Żałobny
przy Kantorze pogrzebowym
W. ŚWIEJKOWSKIEGO.
26. Nowy-Swiat 26.
721——12

SPECYALNY ZAKŁAD
Reparacyi maszyn do szycia
W. KALINOWSKI
Wspólna Nr. 15 785-50-3

NOWOŚĆ!
Hurtowa i detaliczna sprzedaż ulepszonej nafty z dostawą do domu.
Garniec 32 kop.
„NAFTOL"
Królewska 16. 756-12-5

Wielki medal srebrny
FARBY LAKIERY POKOSTY
polecają Zakł. przemysł. chemicz.
W. KARPIŃSKI & W. LEPPERT
w Warszawie Plac Bankowy.
Cenniki franco i gratis.
673—20—19

Pracownia sukien damskich
pod firmą 784-25-2
M-lle Leske,
prowadzona przez cechową uzdolnioną osobę; robota wykończana będzie starannie i sumiennie, ceny przystępne.
Nowogrodzka Nr. 33, m. 4. I piętro

DOZWOL. przez Urząd Lekarski za N. 337

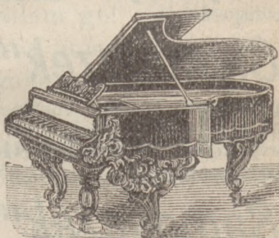

PUDER
Jedynie nieszkodliwy
prawdziwy tylko w opakowaniu jak obok. Pudełko po 15, 30 i 50 k.
768—20-4

SAINT-LEHON
Wino toniczne, odżywcze i wzmacniające, prawdziwe i jedyne wino dla rekonwalescentów. Do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych. 729-25-12

WYPOŻYCZALNIA (CZYTELNIA)
KSIĄŻEK
polskich i francuskich
przy Księgarni Sortymentowej i Składzie Nut **MAURYCEGO ORGELBRANDA, M. Machwitz** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika.
Wysyła się i na prowincyę. 748—25 7

Pracownia Sukien i Okryć Damskich 709—25-
Maryi RYGIER
w Warszawie, Aleja Jerozolimska Nr 43, m. 10, druga brama, parter.

NAJLEPSZE MYDŁO DO PRANIA
bez przymieszki żywicy i innych surogatów. **Nadaje białość, zapach, dezynfekuje nie niszcząc bielizny** usuwa potrzebę używania chlorku, sody, bielideł etc. etc. Wypróbowane w szpitalach i pralniach za granicą i u nas. Wyrabia fabryka
„STĘPKOWSKI & SZYMAŃSKI"
Żądać wszędzie. ***Warszawa, Wolność 16. — Telefonu 1110.*** 707-26-14

765—13—5 **DOSTAWCA DWORU JEGO CESARSKIEJ MOŚCI**
K. M. Schröder
24 Nowy-Swiat 24
POLECA:
FORTEPIANY i PIANINA
w wielkim wyborze i po cenach przystępnych
w Składzie fabrycznym
w Warszawie.
ILLUSTROWANE CENNIKI na żądanie gratis i franko.

24. NOWY-SWIAT 24

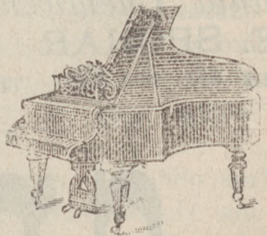
Wszelkie wyroby kuchenne i gospodarskie
poleca
M. SZYMAŃSKI
Senatorska 10. 769B—6-4


W.W. Paniom poleca się
nagrodzony na wystawie pracy kobiet
PATENTOWANY SZYNDLERA
BIUSTHALTER

Senatorska N. 26. 776B—20-2

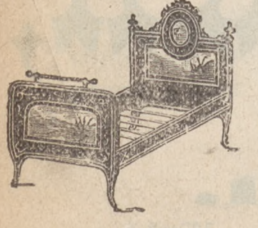
Pracownia Rzeźbiarska w drzewie
D. URBAŃSKIEGO
w Warszawie, ulica Bracka № 12.
Przyjmuje roboty kościelne, salonowe, meblowe, modele do odlewów i wszelką galanteryę.
CENY UMIARKOWANE. 780—24-2

Płótna Jarosławskie, Bieliznę stołową, Firanki, Kołdry pikowe oraz Wyroby bawełniane Moskiewskiej fabryki „Sawy Morozowa & Co."
poleca Magazyn 781—10-2
N. I. WEDERNIKOWA
Nowy-Świat № 72, w gmachu I-go męskiego gimnazyum.


Warszawa, Mazowiecka № 16.
NAJWIĘKSZE W KRAJU SKŁADY
Fortepianów, Pianin i Organów
HERMAN & GROSSMAN
Filie: St.-PETERSBURG ul. Morska № 33, MOSKWA Kuźniecki Most, LUBLIN Królewska № 207.
Sprzedaż na raty po rs. 25 miesięcznie. WYNAJEM.
Illustrowane katalogi gratis. 783—6-1

M-me Parascovie.
Po długoletniej praktyce w kraju i zagranicą
OTWORZYŁAM 675—25-12
PRACOWNIĘ SUKIEN i OKRYĆ DAMSKICH
przy ulicy BIELAŃSKIEJ № 23, w Warszawie.
M-me Parascovie.
Bielańska 23. Bielańska 23.
749—12-7

KEFIR K. ŻYCKIEGO, APTEKARZA, Chmielna 23.


116. MARSZAŁKOWSKA 116.
SKŁAD FABRYCZNY
Mebli żelaznych, Wózków i Welocypedów dziecinnych
z oddziałem pościelowym
J. Neufelda, w Warszawie,
MARSZAŁKOWSKA 116.
Poleca swe wyroby i artykuły pościelowe po cenach fabrycznych niskich. Cenniki na żądanie gratis i franco. 695-26 9
Adres dla listów: **Pańska 33 (fabryka).**
